NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 197·60 Marek, Półrocznie 395·20 Mk. Rocznie 790·40 Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 5 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 8·—, za wiersz nonpareilowy, jednoszpaltowy 10 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjn. 20 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny). Telefon Nr. [illegible]

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 16 Marek.

Rok XVIII. **Kraków, 21. maja 1921.** **Nr. 21.**

Bandytyzm pruski na Górnym Śląsku



Znęcanie się bojówek niemieckich nad bezbronną ludnością polską

DO ŚLĄZAKÓW!

POZDROWIENIE Z WOŁYNIA.

Pokłon Wam ślemy, o bracia Ślązacy,
I pozdrowienie z tej Wołyńskiej ziemi
Dzielny z Was naród, bo zawsze jednacy,
Choć Prusak dusił Was szponami swemi,
Choć chce oderwać od serca Macierzy,
Choć chce zwyciężyć i pięścią i słowy,
Próżno swe siły z Białym Orłem mierzy,
Bo Śląsk, to wierny potomek Piastowy,
Co dobrze pomni praojców swych czyny
I wie, że Polski dzielnicą jest starą,
Zna polskie klęski i polskie wawrzyny
I póki świata — żyć będzie tą wiarą.

Ciężkie dziś chmury zawisły nad Wami
Chmury ucisku, jak niegdyś nad nami
Więc sercom naszym Wy blizcy i mili
Bośmy jednakie katusze przeżyli
Bośmy do Polski wyciągali ręce
Szeptem mówili o krzywdach i męce,
Szeptem błagali łaski, zmiłowania,
I hartu ducha i w wierze wytrwania.
I Bóg wysłucha kiedyś nasze jęki
Wołyńskiej ziemi żałosne błaganie
Wołyńskiej ziemi tęsknoty i męki,
Ześle nam w końcu wolności świtanie.

I dla Was, bracia, kres cierpień już blizki,
Polska utuli Was ramiony swemi,
Skończą się pruskie chytrości, wyzyski,
Na Waszych duszach i na Waszej ziemi.
Skończy się dzieci Waszych katowanie,
Ucisk, nikczemność i krzywda bez miary;
Śląsk, perła kraju naszego powstanie
Silny, bogaty, pełen świętej wiary.
Dziś choć się losy Wasze jeszcze chwieją,
Ufajcie, bracia, w sprawiedliwość Boga,
Wszak cała Polska wiarą i nadzieją,
I silną wolą zwyciężyła wroga.

Cześć Wam, bracia-bohaterzy,
Żeście Piastów ziemi strzegli,
Że w miłości, w wielkiej wierze
Skarbów ducha nie odbiegli.

Moc i stałość Waszej duszy
Dobrze światu znana wszędzie,
Więc się pycha pruska skruszy,
Bo Śląsk polskim był i będzie

W Trojanówce, na Wołyniu 1921. *Halszka Dadzibóg Kamieńska.*

Bandytyzm pruski na Górnym Śląsku.

(Do illustracyi tytułowej).

Ustępliwość rządów koalicyjnych, jak również pewne, zwłaszcza przez Anglię poczynione obietnice utrwaliły Niemców w przekonaniu, że roztrzygnięcie sprawy górnośląskiej wypadnie po ich myśli. Jak doniosły prywatne wieści, Koalicya, nie zważając na wyniki plebiscytu, postanowiła przyznać Polsce jedynie powiaty pszczyński, rybnicki, ewentualnie z najbardziej przemysłowych okolic utworzyć okręg osobny i poddać go pod protektorat Anglii. Te wieści rozzuchwaliły jeszcze bardziej Prusaków, prowokujących stale spokojną ludność polską, co było powodem, iż ludność górnośląska uciec się musiała do samoobrony i chwycić za broń. Nie był to zatem gwałt polski, dokonany na Niemcach, jak twierdził Lloyd George i sfery berlińskie, lecz jedynie akt samoobrony i rozpaczy.

Ludność górnośląska zerwała się do broni i stanęła karnie w szeregu tworząc potężną armię powstańczą, pozostającą pod naczelnem kierownictwem posła Korfantego. Naprzeciw niej stoją bojówki niemieckie, złożone z członków najrozmaitszych organizacyi wojskowych, wysłużonych a nawet i czynnych członków *Reichswehry*, licznych oficerów, którzy ze wszystkich stron kraju pospieszyli celem ratowania „niemieckości Śląska“. O ile armia powstańcza złożona wyłącznie z ochotników, stara się wywalczyć tylko to, co się jej należy, zachowując się pod każdym względem poprawnie i wykonując ściśle rozkazy naczelnego dowództwa, o tyle Niemcy dopuszczają się wszędzie niesłychanych gwałtów, znęcają się nad spokojną ludnością polską i jeńcami, a setki osób, posądzonych o nielojalność, wywożą poza linię demarkacyjną, gdzie są one narażone na brutalne obejście się z nimi hakatystów. Więzi się najspokojniejszych obywateli, księży, sprzyjających polskiej sprawie, traktuje się na równi z zwykłymi zbrodniarzami i rozstrzeliwa, w bestyalski sposób znęca się nad jeńcami dobijając kolbami rannych, wykłuwa się im oczy, obcina ręce i nogi. Na wszystkie te fakty istnieją dowody stwierdzone wiarygodnemi zeznaniami świadków i zdjęciami fotograficznemi, a nawet doniesieniami niemieckich dzienników. W pewnej miejscowości koło Raciborza aresztowano księdza katolickiego, posądzonego jak donoszą pisma niemieckie, o strzelanie do Niemców. Rozjuszony tłum rzucił się na niewinną ofiarę i w straszliwy sposób ją zmasakrował, zanim zdołano ją oddać w ręce władz koalicyjnych. W Kędzierzynie rozstrzelano dwunastu kolejarzy Polaków, ponieważ nie chcieli wstąpić w szeregi niemieckie do walki z powstańcami. A dowody te „kultury pruskiej“ mnożą się z dnia na dzień, przynosząc wstyd i hańbę dwudziestemu stuleciu!...



Uniwersytet warszawski w gościnie u Naczelnika Państwa: Naczelnik Państwa w otoczeniu profesorów warszawskiego Uniwersytetu w ogrodzie Belwederu. Fot. M. Fuks, Warszawa.

Uniwersytet warszawski w gościnie

u Naczelnika Państwa.

W budzącej się do nowego życia Polsce odzyskuje też należne sobie stanowisko i Uniwersytet warszawski, spadkobierca pięknych tradycyi byłej Szkoły głównej. Lata niewoli i ucisku odbiły się też i na polskiej nauce. W przeprowadzeniu rusyfikacyi naszego społeczeństwa miał i Uniwersytet warszawski z woli carskiego rządu odegrać ważną rolę. Usiłowania te, prowadzone z wielkim nakładem pracy i funduszów, nie odniosły pożądanego skutku, duch polski nie dał sobie nałożyć niewolniczych pętów, a chwilowe rozpanoszenie się wrogiego żywiołu na naszym gruncie skończyło się nawet wcześniej, niż się spodziewano.

Z chwilą wyzwolenia się z więzów niewoli rosyjskiej pozbył się też i Uniwersytet warszawski narzuconej mu obcej skorupy i rozpoczął nową erę, mającą być dalszym ciągiem tej działalności dla do-



Uniwersytet warszawski w gościnie u Naczelnika Państwa: Przyjęcie gości w ogrodzie Belwederu. Fot. M. Fuks, Warszawa.

bra polskiego społeczeństwa, jaką niegdyś rozwinęła była Szkoła główna.

W dniu 3 b. m. obchodziła Wszechnica warszawska piękną uroczystość, mającą związek z nowym kierunkiem, jaki teraz panuje w jej murach. Było to poświęcenie i wręczenie Uniwersytetowi insygniów akademickich, nadanych przez Naczelnika Państwa oraz ogłoszenie nazwisk pierwszych doktorów honorowych. W tem święcie akademickiem wziął udział Naczelnik Państwa, kardynał Kakowski, delegaci najwyższych polskich uczelni, przedstawiciele władz cywilnych i wojskowych oraz licznie zebrana publiczność. W przemówieniach, jakie przy tej sposobności wygłoszono położono główny nacisk na ważność tej chwili dla Uniwersytetu warszawskiego i na zadania, jakie go czekają. W rzędzie doktorów honorowych znajdują się: Marszałek Piłsudski, marszałek Foch, prezydent Wilson, Hoover i inni.



Zgon młodego bohatera: Sp. Jan Surzycki, słuchacz agronomii U. J., porucznik artyleryi, ochotnik poległy w dniu 9 maja br. pod Kędzierzynem na Górnym Śląsku.

Opuszczającego gmach uniwersytecki Naczelnika Państwa młodzież obrzuciła kwiatami, wyprzęgła konie i pociągnęła karetę wśród nieustannych okrzyków.

Na zaproszenie Naczelnika Państwa odbyło się tegoż dnia w Belwederze przyjęcie przedstawicieli Uniwersytetu warszawskiego. O godz. 5 popołudniu przybyli do Belwederu profesorowie i asystenci Uniwersytetu *in corpore* z rektorem Janem Kochanowskim na czele, przedstawiciele nauki i ideowych ugrupowań, słuchacze Uniwersytetu warszawskiego oraz delegacye wyższych uczelni w Polsce. Przyjęcie rozpoczął Naczelnik Państwa toastem, w którym zaznaczył, że Uniwersytet warszawski niema jeszcze świetnej tradycyi naukowej, ale za to ma wielkie tradycye polityczne. Dnia 29 listopada 1830 akademicy warszawscy Goszczyński, Nabielak i Mochnacki pierwsi rzucili w murach tego gmachu pochodnię niepodległości Polski. Pamiętna świetnych tradycyi r. 1831 i obecna młodzież akademicka chwyciła dwukrotnie za broń do walki w obronie zagrożonych granic Ojczyzny. Toast zakończył Naczelnik Państwa słowami: „Życzę, aby wychowankowie Uni-



Uniwersytet warszawski w gościnie u Naczelnika Państwa: Naczelnik Państwa podczas opowiadania swych przeżyć z młodszych lat. Fot M. Fuks, Warszawa



Uroczystości strażackie we Lwowie: Prezydent Neumann w otoczeniu członków lwowskiej Straży ochotniczej „Sokół" i gości po wręczeniu mu honorowej plakiety.



Uroczystości strażackie we Lwowie: Uczestnicy poświęcenia parowej sikawki „Jadwiga", lwowskiej kolejowej ochotniczej Straży pożarnej. Siedzą: Prezes inżynier Tadeusz Gayczak, naczelnik Straży St. Marecki, zastępca naczelnika Kazimierz Kaiser, adjutant korpusu Franciszek Heisig i inni.

wersytetu warszawskiego zachowali i nadal tę tradycyę walki o niepodległość Polski. Niech żyje Uniwersytet warszawski". W odpowiedzi rektor dr. Jan Kochanowski w imieniu profesorów Uniwersytetu warszawskiego podziękował Naczelnikowi Państwa za życzenia, kończąc swe przemówienie okrzykiem: „Naczelnik Państwa i Naczelny Wódz, pierwszy marszałek Józef Piłsudski niech żyje!" Okrzyk ten powtórzyli obecni trzykrotnie. Ostatni zabrał głos prezes Tow. Bratniej Pomocy studentów Uniwersytetu warszawskiego Władysław Dzab, podkreślając gotowość młodzieży akademickiej do eddania każdej chwili wszystkiego co ma najdroższe na ołtarzu Ojczyzny.

Następnie udał się Naczelnik Państwa z gośćmi do ogrodu, gdzie wśród pogodnego nastroju, zebranie trwało do godz. 7·30 wieczorem. Ogólną wesołość wzbudzało opowiadanie Naczelnika Państwa na temat jego przeżyć wojskowych. Przyjęcie zakończyło się wspólną fotografią Naczelnika Państwa z grupą przybyłych na przyjęcie akademików.

Uroczystości strażackie we Lwowie.

Doroczną uroczystość św. Floryana, swojego Patrona, obchodzą bardzo okazale nasze straże pożarne, tak zawodowe jak i ochotnicze. Przy tej sposobności urządza się też zazwyczaj akty odznaczenia osób w dziedzinie pożarnictwa zasłużonych, poświęcenie nowych gmachów, przyborów, oraz zebrania towarzyskie, mające na celu zbliżenie do siebie członków tych organizacyi i zaciśnienie między nimi węzłów koleżeństwa. W życiu zwłaszcza prowincyi instytucya straży ogniowej ochotniczej jest organizacyą bardzo ważną, ma bowiem na celu nie tylko spieszenie z pomocą zagrożonym różnego rodzaju klęskami elementarnemi, ale także umiejętnie pokierowana może się stać ogniskiem życia obywatelskiego i narodowego.

Lwowskie straże pożarne święciły w tym roku dzień św. Floryana uroczyście, równocześnie zaś odbył się chrzest nowej sikawki parowej, którą otrzymała Straż pożarna kolejowa. W kościele OO. Karmelitów odprawił mszę św. ks. Stefan Górniak, przy udziale dyrektora kolei Barwicza, inż. Gayczaka oraz naczelników i członków Straży pożarnej kolejowej, miejskiej i ochotniczej. Przybyło także wiele publiczności.

Na dziedzińcu kościoła poświęcił ks. Górniak nową sikawkę, ozdobioną zielenią i chorągiewkami o barwach narodowych i nadał jej imię Jadwigi. Kumami „Jadwigi" byli. dyrektor Barwicz, inż. Gayczak, zast. dyr. Pawluszkiewicz, Kazim. Kaiser, oraz panie: Marya Louis, H. Gasparska, Anna Kaiser i Eugenia Heissig.

Następnie defilowała przy dźwiękach muzyki straż kolejowa przed swymi przełożonymi, poczem stanąwszy w szeregi, przypatrywała się defiladzie straży z Lewandówki.

Połączone straże przemaszerowały potem przez miasto z dwiema orkiestrami, oraz sikawkami i aparatami strażackimi. Na Placu Halickim straż miejska i ochotnicza oddzieliły się od pochodu, kolejowa zaś podążyła na dworzec, gdzie odbyła się wspólna fotografia.



Odznaczenie amerykańskich lotników: Oficerowie 7 eskadry im. T. Kościuszki dekorowani przez Naczelnika Państwa za okazane męstwo. Fot. M. Fuks, Warszawa



Odznaczenie amerykańskich lotników: Defilada kompanii honorowej przed Naczelnikiem Państwa i dekorowanymi. Fot. M. Fuks Warszawa

Po południu tegoż dnia święciła pewien rodzaj uroczystości rodzinnej lwowska Straż ogniowa ochotnicza „Sokół". Wszyscy jej członkowie wraz z gronem zaproszonych osób zjawili się w ogrodzie Kościuszki, siedzibie tej straży, gdzie o godzinie 5-tej po południu odbyło się uroczyste wręczenie plakiety honorowemu prezesowi straży poż. prez. Neumannowi. Plakieta ta, wykonana w bronzie przez Hallerczyka artystę-rzeźbiarza p. Maryana Spindlera, przedstawia wizerunek prezydenta, a po lewej jego stronie umieszczony jest św. Floryan, opiekun strażaków. Na uroczystość przybyli prezydent wraz z małżonką i dziećmi, prezes ochotniczej straży r. Andrzejewski, naczelnicy kolejowej straży pożarnej p. Gajczak i Marecki oraz r. Ohly, Terenkoczy, dr. Wereszczyński, dr. Piepes-Poratyński, red. Laskownicki i Weinberg. Dalej dyr. magistratu Chęciński, delegacya straży miejskiej z zastępcą naczelnika p. Spaczyńskim na czele, delegacya straży pożarnej Zamarstynowa i w. in. Do solenizanta przemówił imieniem lwowskiej Straży ochotniczej pożarnej naczelnik p. Centner, prez. Związku straży pożarnej r. pożarnictwa p. Wójcikiewicz.

W gorących słowach podziękował prez. Neumann, akcentując narodową i społeczną misyę straży poczem nastąpiło wręczenie plakiety.

K. CZEREMOSZ.

KRWAWE DZIEDZICTWO

7 . POWIEŚĆ.

W kilka dni po wizycie pana Michała, przyszła zaprosić swe krewne na jakiś wieczorek, a nie zastawszy nikogo prócz Celiny, zawiązała z nią ożywioną rozmowę. Jedynaczka doktora Sławuckiego odznaczała się wielką gadatliwością. Drobna, delikatna, ośmnastoletnia blondyneczka, ubóstwiana przez ojca, psuta przez ludzi, dziedziczka dużego majątku, była, mimo płytkości umysłowej, bardzo dobrą osóbką. Wesoła, zgrabna jak laleczka, ubierała się z wielkim gustem i pilnie śledziła najdrobniejsze kaprysy mody. Nie lubiła pani Domejkowej i jej córek, pozujących na filozofki, to też rada z ich nieobecności, przysiadła się do Celiny, zajętej szyciem i zaczęła po swojemu rozmawiać:

— Papa przysłał mnie, abym zaprosiła kuzynki, przyszłam z moją panną, ale niema gdzie zaczekać. Kazałam jej usiąść w tej ciemnej kuchni, nie wiem tylko, czy znajdzie krzesło. Papa mówi, że kuzynki muszą być u nas choć raz na rok, ale mnie na nic nic a nic nie zależy. Na Władku już prędzej, mężczyzna młody zawsze jest pożądany w towarzystwie, a przytem jest wesoły, dowcipny, nie chwalący się swojem wykształceniem jak jego siostry. A pani dużo czyta?

— Jak mam czas.

— Po pani nie znać tego, ale od Wandy i Jadwigi zdaleka uczoność bije. Mnie się zdaje, że one tą mądrością chcą kokietować, tak jak inne pięknością, myślą, że to się podoba — ruszyła ramionami i roześmiała się — pani nie ma żadnych krewnych — dodała po chwili.

— Żadnych — odparła Celina zcicha.

— Nie wielka szkoda, krewni są tacy nudni! Ja także jestem sama, chociaż mam krewnych. Miałam daleką kuzynkę starą damę, która zastępowała mi matkę, ale była tak zimna i nadęta, że z pomocą ojca wyprawiłam ją z domu. Pani mi się bardzo podoba, wie pani co, mówmy sobie „ty“, jesteśmy w jednym wieku, obie sieroty, bądźmy przyjaciółkami.

Celina uśmiechnęła się i ją coś pociągało do tej pieszczochy losu. Ucałowały się na znak przymierza, a Helenka zaczęła:

— W karnawale wydamy wielki bal, musisz być na nim! Zabawa będzie wyborna, mnóstwo panów, kilka nowych i ładnych twarzyczek, a tyś może z nich najładniejsza, twoja jasna cera przy ciemnych włosach robi się naprawdę ładną. Władek już mi mówił o tobie, chwalił cię, utrzymuje, że razem stanowiłybyśmy śliczny kontrast. Musisz ubrać się w białą sukienkę i pąsowe róże, ja włożę koronki i tiule, bo w tem wyglądam najlepiej. Władek mówi, że jak we mgle. Moja uroda wymaga coś powiewnego, coby mnie rzeczywiście jak we mgły otulało. Papa nie zna się na tem i zawsze kupi mi coś kosztownego, o! i teraz przywiózł mi od Herzego ciężki biały jedwab, jakbym ja w tem wyglądała. Co innego ty, twoja wysoka, imponująca postać nadawałaby się do tego, ot wiesz co, przyjm go odemnie.

— Moja Helenko—odparła łagodnie Celina—przystaję na naszą przyjaźń, ale pod warunkiem, abyś mi żadnych prezentów nie robiła. Wobec mnie zapomnij, że jesteś bogatą i bądźmy sobie równe.

— Szkoda, zżółknie i z mody wyjdzie.—Celinka niecierpliwie ruszyła ramionami, Helenka więc dodała—dobrze, już dobrze, więcej o tem mówić nie będę. Muszę iść — rzekła po chwili, wzdychając — zostałabym jeszcze, ale boję się mojej panny, strasznie mnie tyranizuje, ma dobry gust jednak i ślicznie czesze, więc wszystko jej przebaczam. Zresztą nie chcę doczekać się ciotki Domejkowej, przy całej swojej czułości zawsze coś nieprzyjemnego mi powie. Wtrąca się do mojej tualety, daje mi rady, których wykonać nie mogę i sama nie mając gustu, zarzuca mi brak takowego. Boże, jak ona te córki ubiera, aż żal patrzeć! No, ale teraz bądź zdrowa, nagadałyśmy się, prawda? Wybornie zgadzamy się ze sobą, musisz mnie często odwiedzać!

W kilka dni potem o zmroku już Celina wracała z lekcyi. Całydzień myślała o ojcu, a teraz nadłożyła drogi i udała się plantami do domu, tą samą aleją, którą szła z nim po raz ostatni. Zwolniła kroku, spoglądała w niebo, to na korony wysokich drzew, a myśl jej błądziła w zaświatach. Gdzie on jest, czy widzi mnie, czy mi współczuje — pytała się z tęsknotą — ach gdyby to wiedzieć, gdyby choć cośkolwiek wiedzieć — i smutek byłby lżejszy i rozłąka nie tak bolesna! Nagle na rogu ulicy otworzyły się drzwi szynku, buchnęła woń spirytualiów, zmięszana z gwarem pijackich głosów, a na chodnik wypadł popchnięty z wnętrza silną ręką, człowiek niski, przysadkowaty. Drgnęła, a odwróciwszy się, wpatrzyła się uporczywie w cyniczną twarz pijaka.

— Ha, ha, ha, spodobałem się panience, może pójdziemy razem! — wybełkotał chrapliwie ukazując w blasku latarni nieznane Celnie rysy.

Wstrząsła się, zawróciła i szybkim krokiem zaczęła uciekać.

— Przywidzenie, myślałam, że to „tamten“ — szepnęła. Serce jej biło, zdawało jej się, że biegnie za nią, a obejrzeć się bała. Nareszcie stanęła zdyszana na Brackiej, ulica była pusta i nikt jej nie gonił.

Gdy weszła do domu, z zadowoleniem spostrzegła, że dzisiaj przynajmniej pan Michał nie przyjdzie. Od owej wizyty był już kilka razy, ale ona zawsze umiała wymknąć się w porę, szła do której z koleżanek, albo do Helenki Sławuckiej. Dzisiaj ciężko byłoby jej, czuła się znużoną i dużo miała do nauki. Styczeń się zaczął, a w maju musiała składać egzamin ludowy, jeżeli nie chciała stracić swojej posady. Nie była ona jej pewną, nawet w razie złożenia egzaminu. Pojmując nauczycielstwo jako posłannictwo, oddała mu się całą duszą. Odpowiadała chętnie na pytania dzieci i rozwijała w nich poczucie obywatelskie. Razu jednego objaśniała im rok 63 mówiła o nim jako o koniecznym wyniku niesłychanych prześladowań, o bohaterstwie i zaparciu cichych męczenników i zapale, który nakształt płomienia objął naród cały.

Dzieci słuchały ją z zapartym oddechem, w klasie było cicho, jakby makiem zasiał. Przerwał jej wchodzący dyrektor, a zawoławszy ją po godzinie do kancelaryi, oświadczył bez ogródek, że słyszał jej wykład, umyślnie przeszkodził dalszym wywodom, podobne opowiadania bowiem nie leżą w zakresie jej nauki. Niech lepiej nie zawraca dzieciom głowy i nie mąci ich pojęć, rok ten bowiem był warcholską ruchawką, która nad brzeg przepaści kraj doprowadziła.

Innym razem zapytana przez dziewczynkę, dlaczego Prusak nie cierpi naszych, tłómaczyła dzieciom walki Słowian z Niemcami, datujące od pogańskich czasów, a przeciągające się do dnia dzisiejszego. W entuzyastycznych słowach przedstawiła obraz tej wielkiej epopei, w której bohaterem jest chłop broniący swej ziemi, a napadającym cywilizator, niosący w swym ręku ruinę i zagładę.

I o tem dowiedział się dyrektor i zapowiedział w ostrych słowach, że jak nie zaprzestanie swych wycieczek politycznych i jeszcze raz mówić będzie w tak nienawistny sposób o państwie ościennem, to zmuszonym zostanie rozstać się z nią. Cóż miała robić? Poznała niestety, że dopokąd radą szkolną rządzą konserwatyści, nauczycielka jest tylko maszyną do wykładania suchych reguł. Biada jej, jeżeli w te obowiązki część ducha zechce włożyć! Było jej źle i smutno! Bujna młodość rozpierając piersi, wola do czynu, pragnęła ideały wcielać w życie, a rzeczywistość mówiła szyderczo: — Tysiące przed tobą, i tysiące po tobie będą pragnąć, walczyć i opadać ze złamanemi skrzydłami, jam panią, a Bogiem mdłe rutyna!

Często również przychodziło na nią zwątpienie innego rodzaju. Oto przysięgała sobie pomścić ojca, ukarać zbrodniarzy, i cóż zrobiła? Pracuje na kawałek chleba w ciężkim znoju od rana do nocy i na nic innego niema czasu.

Rozmyślała tak sama jedna, gdyż panny z matką nie spodziewając się dzisiaj wizyty wyszły z domu, Celina więc korzystała z rzadkiej swobody, myślała i uczyła się. Tak upłynęło kilka godzin w zupełnej ciszy. Nagle drzwi się otworzyły z hałasem i ośnieżony cały w padł pan Władysław.

— A to powietrze, psaby nie wygonił! Cóż to pani sama?

— Jak pan widzi, a do tego bardzo zajęta.

— To znaczy, żebym się wynosił! ale nic z tego, dodał siadając wygodnie — samemu dyablo nudno, a pójść nie mam gdzie. Moje siostrzyczki, nie oczekują dzisiaj nikogo, porzuciły kółko rodzinne! Dobrą gramy komedyę ostatniemy czasy, co? ha, ha, ha, a jeszcze dla kogo, dla człowieka, któremu żadna z nich nawet w głowie nie jest. Komedye, jak Boga kocham, komedye! Jak też się pani z nas śmiać musi, bo z pani sprytna osóbka, choć trochę zanadto skryta. U pani uroda idzie w parze z rozumem, co się nie często zdarza.

— Tylko nie mów mi pan komplementów, już wolę naganę.

— Ma pani słuszność, nie dla mnie ziemia obiecana! Bądźmy przyjaciółmi więc, a jako taki mam pani kilka słów do powiedzenia.

— Wiem już, zapewne Wanda mówiła panu o niełasce, w jaką popadłam u dyrektora.

— Tak, i niech mi pani powie na co to? robi się pani niemożliwą, dlaczego, dla kogo?

— Dla zasad! mamże zaprzeć się każdego uczucia każdej myśli dla chleba?

— Ba, ba, dla chleba ludzie gotowi zaprzeć się wszystkiego! Gdyby pani miała majątek, a to rzecz inna! ach majątek, majątek!

— Strasznie pan do niego wzdycha — zaśmiała się Celina.

— Nie śmiej się pani, to wielka potęga! Szczęśliwy to będzie dzień, w którym i mnie się fortuna uśmiechnie.

— Może pan medycynę popchnie na nowe tory.

— Co mi tam medycyna, co mi nauka! Inną ja drogę obrałem..

— Wskaż mi ją pan.

— O to droga łatwa, a przy szczęściu można prędko dojść do celu. O o kłaniać się możnym, a wyznawać zasady tych, co są u steru.

— To szkaradnie.

— Ale pożytecznie dla nas biedaków! Zasady, nauka, postęp, szumne słowa! W rzeczywistości kto zasiada katedry i dzierży wpływowe stanowiska? Czy uczeni, filantropi, albo ludzie zasad? Śmiej się pani z tego, oto ci, którzy mają protekcyę i najniżej karki zginać umieją. Miałem kolegę, pańskiego dziada, słaba głowa, kujon, ale skoligacony, a przytem gładki, grzeczny, lizus. Profesorowie za przykład go dawali, a nas wodził na pasku swoją wymową i szumnymi frazesami. Pamiętam raz w długiej mowie zachęcał nas do składek na rzecz wygnańców pruskich, poruszył serca, każdy spieszył z ostatnim groszem, naturalnie na jego ręce. Zebrało się coś szesnaście koron, wielka suma w naszem przekonaniu. Czy pani wie, co z nią zrobił? Kupił sobie hektograf o którym oddawna marzył. Potem wygłał się, narzekał na potwarz, na wrogów, na prześladowanie, aż wreszcie ucichło wszystko. Teraz jest przy namiestnictwie i jak mówią, na drodze do wielkiej karyery. Ciekaw jestem, ile jeszcze szelmostw popełni, a wszystkie mu ujdą, bo ma protekcyę i umie się kłaniać. Niema innej drogi dla człowieka ubogiego a z ambicyą. Co innego, kiedy się ma majątek! Ej, gdyby mi tak wpadł w ręce!

— Używałbyś pan życia wtedy, prawda?

— Naturalnie, pragnę żyć i użyć!

Ale dajmy pokój temu, chciałem mówić o pani, a wpadłem na własne dzieje. Przed panią tylko tak się wypowiadam! Wzbudza pani mimowolnie zaufanie, nie zwierzając się w zamian nikomu. Bo i cóż my wiemy o pani? Żeś była na pensyi, żeś sierotą, że teraz pragniesz pani zostać nauczycielką.

— Bo też to dzieje całego mego życia.

O, jestem przekonany, że coś się tam więcej kryje.

— Pan wszędzie podejrzywa tajemnice, musi pan sam mieć ich sporo.

— Tajemnice — ja — zbladł nagle i jak gdyby dreszcz nim wstrząsnął.

— Celina spoglądała na niego zdziwiona.— Co panu jest, czy panu słabo? — zapytała.

— Cóżby mi było, zimno tu trochę — odparł z przymuszonym uśmiechem. — Oho, dobija się ktoś, pewnie siostrzyczki, a może i pan Michał — dodał wstając, aby otworzyć. Rzeczywiście był to pan Michał razem z pannami. Zrobił się ruch, oświecono copręndzej *salon*, zakrzątnięto się około herbaty. Panny przebierały się, pan Władysław wyszedł za matką, która go znakami przywoływała, pan Michał zaś, korzystając ze sposobności, zbliżył się do Celiny. I tym razem wydał jej się jakiś nie swój, zmieniony, bez humoru.

(Ciąg dalszy nastąpi)

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA
MARYA TOCZYSKA

41 I.

Jesteś wierzącą Maryo, wiem o tem i ja również wierzę, odkąd Cię pokochałem, ale Ty nie możesz przecież przebaczyć temu człowiekowi, idąc w ślady Chrystusa, bo Chrystus był Synem Bożym, a my tylko nędzne istoty ulepione z ciała i krwi, a więc my przebaczyć nie możemy tym, którzy kusili na nasze życie. Czy wiesz, że ten człowiek chciał także zgładzić mnie ze świata? Czy wiesz, że usiłował zamordować mojego najlepszego przyjaciela, hrabiego Lambertini. Domyślam się w tem jakiejś podłości kobiecej, bo Ranieri kochał gorąco młodzą, piękną dziewczynę, żydówkę — a teraz Ranieri jeszcze chory leży, młoda dziewczyna zaś znikła w niewyjaśniony sposób. Ja zaś tutaj schronić się musiałem! Tak, musiałem; fatalność czy przeznaczenie przywiodło mnie tutaj, do miejsca, w którem się znajdujesz, prowadząc mnie w te strony w sposób tak pewny, iż cudem nazwać to mogę!

Maryo! Ty zaufasz mi, prawda? Czy słowa moje, pełne miłości i uwielbienia mogą w Tobie lęk budzić? Ty może czujesz wstręt, odrazę do miłości? Masz może w sercu ukryty obraz innego człowieka? Kto to wiedzieć może? Stanie się jak zechcesz. Jeżeli nie dozwolisz, więcej Ci o mojej miłości mówić nie będę! Wyratuję Cię tylko! Tak, Maryo, chociaż odrzucisz miłość moją, ja uratować Cię muszę! Ty cierpisz, płaczesz i rozpaczasz! Wiem o tem. Może ten człowiek kocha Cię wstrętną jakąś miłością i zmusza Cię do przyjmowania swoich ohydnych pieszczot? Boże! jakąż ja śmierć wynajdę dla tego potwora?

Maryo! posłuchaj mnie! Uwolnię Cię, zwrócę Ci wolność, a w zamian nic żądać nie będę od Ciebie. Być może także, że życiem swojem rozporządziłaś już, poświęciłaś się Bogu i słowa moje obrażają Cię. Więc o miłości więcej Ci mówić nie będę. Wyjedziesz ze mną daleko, bardzo daleko i żyć będziesz stosownie do własnej woli. Nie będę Cię nudzić rozpaczą moją ani prośbami, tylko pozostanę przy Tobie, jak wierny przyjaciel, obrońca i niewolnik. I czuć się będę szczęśliwy, że żyję przy Tobie, oddychając tem samem powietrzem, którem Ty oddychasz. Wierz mi Maryo, serce moje jest Ci oddanem na zawsze. Może nadejdzie dzień taki, że i Ty mnie pokochasz, ale jeżeli nie nadejdzie nigdy — potrafię milczeć w cichości.

Maryo! Kim Ty jesteś? Gdzie jesteś? Co robisz? O czem myślisz, moja duszo jedyna? Jaka jest tragedya twojego życia? Jaki Twój stosunek do wstrętnego garbusa, który Cię więzi? Jak dawno jesteś przykuta do jego boku? Coś Ty mu uczyniła, że skazał Cię na tak straszne cierpienia? Wszystko to wyjawisz mi — nieprawdaż? Powierzysz mi tajemnicę swojego życia i to wkrótce — czuję, że stanie się to wkrótce. Tej nocy, zbliżyłem się do Ciebie więcej jeszcze, a jutro... może jeszcze wcześniej, o Boże! — będę przy Tobie Maryo i klęcząc jak przed męczennicą świętą, ucałuję rękę Twoją...

Maryo! należę do Ciebie duszą i ciałem.

Robert Alimena".

Po napisaniu tego listu Robert przeczytał go raz jeszcze i pomimo niedorzeczności i przesady namiętnej w nim wyrażonych, wydał się mu on zimnym i bladym. W pierwszej chwili chciał go nawet zniszczyć, ale pomyślał, że i takim jakim był, list ten spełni swój cel, jeżeli John zechce go wręczyć Maryi tej samej nocy jeszcze.

Zaledwie Robert ukończył czytanie, kiedy zapukano do drzwi i do pokoju wszedł detektyw. Dick Leslie zmieniony był do niepoznania. Okrywało go stare, zniszczone i wyplamione ubranie, koszula brudna i wystrzępiona — nos zaś Dicka był mocno czerwony, usta wykrzywione charakterystycznie.

— Dobry wieczór, Ekscelencyo — wymówił ochrypłym, leniwym głosem.

— Dobry wieczór, Leslie. Wspaniale pan wygląda. Punktualność zaś pana jest wzorowa.

— Ale wygląd Ekscelencyi pozostawia wiele do życzenia. Czy tak ubranym chce pan udać się do takiej mordowni, jaką jest Druzy-Lane?

— Twierdzi więc pan, że to jest miejsce podejrzane?

— Nawet bardzo. Klientela, składająca się ze złodziei, włóczęgów i zbrodniarzy. Jeżeli ujrzą Ekscelencyę tak dobrze ubranym, zaczają się na rogu jakiej ulicy i zechcą skraść ubranie.

— A więc?

— Trzeba się przebrać koniecznie, włożyć to, co się ma najwięcej zniszczonego, zmiętą, brudną koszulę, a przedewszystkiem zdjąć wszystkie kosztowności. Rąk tylko nie zmienimy, zawsze będą białe i zdradzać będą pochodzenie Ekscelencyi.

— Czy tylko znajdę, co mi potrzeba — odrzekł Robert, przewracając niecierpliwie wszystkie szuflady szafy. W końcu znalazł coś, co mu się wydawało stosownem do podobnej wycieczki. Letnie, zmięte ubranie do polowania i kapelusz filcowy, któremu śmiejąc się, nadał kształt najdziwaczniejszy. Na koszulę, którą miał na sobie, nałożył drugą, nocną i przewiązał u szyi jaskrawym krawatem.

— Czy Ekscelencya ma pieniądze? — zapytał Dick Leslie, przyglądając mu się uważnie.

— W Londynie?

— Nie, tu, przy sobie?

— Tak. Około dwunastu tysięcy franków. Reszta złożona u moich bankierów.

— Trzeba te pieniądze złożyć u portyera z listem.

— Jakim listem?

— Ekselencya nie pamięta widocznie, że wchodzimy w grę bardzo niebezpieczną. A jeżeli John nas zdradzi? Jeżeli nas wciągnie w zasadzkę?

— To prawda — szepnął Robert zamyślony. — Ale właściwie to ja nie dbam o to.

— I ja również. Wcześniej czy później skończę życie śmiercią gwałtowną. Kilka osób obiecało mnie już zamordować, ale ja śmieję się z tego. Dick Leslie jest filozofem, milordzie. Ale list jest konieczny.

— Być może...

— Ekscelencya napisze w nim, że jeżeli nie powróci za dni ośm, to będzie znakiem, iż został zamordowany lub też uwięziony przez doktora Markusa Hennera, garbusa. Należy także w liście dać swój adres, prosząc władze o wdrożenie śledztwa.

— A jeżeli dam podobny list właścicielowi hotelu — zauważył Robert, czy nie domyśli się zaraz, o co chodzi?

— Nie, to Anglik, a Anglicy wszyscy są ludzie zimni i obowiązkowi. Ekscelencya powie mu: „Zachowa pan ten list, jeżeli nie wrócę za dni ośm, otworzy go pan, ponieważ zawiera ważne wskazówki i adres, pod którym odeszle pan złożone u pana pieniądze.

— Pewnym pan jest, że nie ulegnie ciekawości i nie otworzy listu wcześniej?

— Nie. Powiadam, że to Anglik.

— Czy mam wziąć trochę pieniędzy ze sobą?

— Trochę — ze dwadzieścia sztuk złota, ale trzeba je dobrze schować.

— A dla Johna?

— John nic nie zrobi interesownie. On jeżeli coś zrobi, to przez miłość dla swojej nieszczęśliwej pani.

— A broń bierzemy?

— Oczywiście, ale także ją ukryć musimy. Czy Ekscelencyi broń jest dobra?

— Oto jest.

Robert Alimena wyjął z pudełka dwa małe rewolwery doskonałej konstrukcyi. Jeden z nich wręczył Dickowi Leslie.

— To prawdziwe cacko! — wyrzekł z zadowoleniem detektyw.

— Oddaję go panu na własność, Dicku.

— Dziękuję, mylordzie. Jest jeszcze broń inna?

— Ten sztylet...

— Dobry będzie.

— I ten nóż.

— Doskonały.

— Wystarczy?

— Oh! tak, mam zresztą jeszcze swój bokser.

— No! — zaśmiał się Robert — jesteśmy chyba dostatecznie zabezpieczeni. — Czy tylko ten John przyjdzie?

— Obiecał mi solennie.

— Czy tylko dotrzyma obietnicy.

— Jestem prawie pewnym, że tak.

— Prawie?

— Tak, Ekselencyo. Czy można w życiu być czegoś pewnym zupełnie?

— Chodźmy już, panie Dicku.

— Chwilę jeszcze. Niech Ekscelencya napisze ten list.

Robert usiadł z westchnieniem i opanowawszy zdenerwowanie pod dyktatem detektywa, skreślił kilka słów spokojnie już i z zastanowieniem. Poczem zadzwonił i chłopcu pokojowemu rozkazał przywołać sekretarza hotelowego.

Sekretarz z obojętną, zimną twarzą, schował flegmatycznie do kieszeni pieniądze, dane mu przez Roberta wraz z zapieczętowanym listem i nie wymówiwszy ani słowa, skłonił się i wyszedł.

— Na którą godzinę mamy się tam stawić? — zapytał Robert po odejściu sekretarza.

— Na wpół do dwunastej — ale droga jest dosyć daleka.

— Weźmiemy powóz?

— Tak, lecz wysiądziemy z niego w pewnej odległości. Nie można zajeżdżać dorożką przed szynkownię Druzy-Lane.

— Rozumiem to. Jedźmy Dicku.

— Jeszcze chwilę. Czy Ekscelencya obiecuje panować nad sobą?

— Obiecuję...

— I milczeć...

— Tak.

— Choćby Bóg wie co tam mówiono?

— Tak, obiecuję solennie.

— To dobrze. Teraz jechać możemy.

Jedenasta godzina biła na zegarze Piccadelly-Hotel, kiedy Robert Alimena w towarzystwie Dicka Leslie wychodził ze swojego mieszkania.

Kiedy znaleźli się na ulicy, detektyw ujął go poufale pod ramię i zaczął coś do niego mówić z ożywieniem. Obydwaj mieli chód niepewny, powolny, jak gdyby pijani byli i uśmiechali się głupkowato do przechodniów.

W niedalekiej odległości od hotelu, Dick Leslie gwizdnął na dorożkę i zaledwie wsiedli do niej, sztuczny ich humor opuścił ich natychmiast. Siedzieli bez słowa, zamyśleni, pochłonięci przebiegiem śmiałego i niebezpiecznego przedsięwzięcia.

Jakiś czas powóz toczył się wzdłuż ulic szerokich i jasno oświetlonych, pełnych przechodniów i ruchu, poczem z głuchym turkotem przejechał most i wydostał się na ulicę węższą już, ciemniejszą i pustą.

Nagle Dick Leslie, który przez cały czas palił nieodłączną swoją fajkę, zapukał w szybę i dorożka zatrzymała się natychmiast.

— Jesteśmy już na miejscu — zapytał cichym, niespokojnym głosem Robert.

— Jeszcze nie.

Detektyw zapłacił dorożkarza i stał chwilę patrząc za oddalającym się powozem. Kiedy turkot kół zamilkł już w oddali, Dick Leslie ujął z powrotem ramię swojego towarzysza i zagłębił się z nim w uliczkę pustą i bardzo źle oświetloną. Jakiś czas szli w milczeniu. Robert, im bardziej zbliżała się stanowcza chwila, stawał się niespokojny i zdenerwowany. Przeszli jeszcze parę ulic i nareszcie znaleźli się nad brzegiem Tamizy. Rzadkie latarnie gazowe rzucały niepewne i drżące światło, chwiejąc się pod naporem wiatru, silnie dmuchającego nad wodą. Wszystkie sklepiki, znajdujące się wzdłuż wybrzeża, były zamknięte. W dali tylko migotało jakieś światło.

— Jesteśmy już — szepnął gorączkowo Robert.

— Zaraz, zaraz — odpowiedział spokojnie Dick Leslie.

Przed niskiemi drzwiami, zakrytemi od strony wewnętrznej czerwoną, wełnianą firanką — kołysała się latarnia o szkłach czerwonych.

— Oto szynk „Pięknej Edyty“ — oznajmił detektyw, zatrzymując się.

Robert przed wejściem objął bystrem spojrzeniem ulicę ciągnącą się wzdłuż wybrzeża. Miała ona szczególnie ponury wygląd. Wody Tamizy szemrały smutnie i złowrogo — wybrzeże było zupełnie puste.

— Możnaby tu swobodnie zabić i utopić człowieka w kilku minutach — wyrzekł Robert Alimena, wstrząsając się nerwowo.

— To pewne — potwierdził Dick Leslie — ale my nie damy się zabić tak łatwo. Chyba w ostateczności.

Wymówiwszy te słowa, otworzył drzwi szynku i wszedł do środka — za nim postępował Robert.

Szynkownia „Pięknej Edyty“ składała się z obszernej, niskiej izby, sklepionej ciężko. Sufit jej zdawał się przytłaczać siedzących w niej gości. Po lewej i prawej stronie mieściły się stoły, pokryte czarną, zniszczoną ceratą i ławki drewniane z oparciami wysokiemi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Starzewskiej.

TOM II.

37

Nigdy w życiu nie czułem się tak dobrze. Czy rzeczywiście są chorzy ludzie w Londynie? Czy twoje poczekalnie zapełnione? Trudno mi w to uwierzyć, tak jak nie mogę sobie wyobrazić ciemnych dni londyńskich. Ale co za egoista ze mnie! Znienawidzisz mnie jeszcze! Lecz to tak dobrze być szczęśliwym! Kiedy jestem szczęśliwy, czuję, że spełniam przykazanie. Jeżeli chcesz spełnić przykazania, przyjedź do Egiptu. Lecz powinieneś przywieźć z sobą „kobietę" w światło słoneczne. Nie mogę i nie potrzebuję nic więcej powiedzieć. A teraz rozumiesz, że — wszystko dobrze. Czy pamiętasz nasz powrót z koncertu w nocy i moje powiedzenie: „Pragnę iść w światło, prawdziwe światło?" Jestem w niem teraz i pragnę, żebyś Ty, i wszyscy mogli być w niem także! Przebacz mój egoizm. Napisz do mnie pod podanym adresem kiedy będziesz miał czas. Przyjedź nad Nil jak sobie zrobisz wakacye.

Przesyłamy Ci oboje pozdrowienia

Twoi prawdziwi przyjaciele, N. A. i B. A.

Podpisuję za nią. Nie wróciła jeszcze z ogrodu, dokąd idę".

List pełen radości. List wołający każdem słowem; „Myliłeś się". List tryumfalny, lecz bez okrucieństwa często w tryumfie zawartego. List do prawdziwego przyjaciela, żeby się nim cieszył?

Meyer Isaacson trzymał go długo w ręku zapominając o herbacie, która przed nim stała.

Dzień był ciemny i ponury nie bardzo zimny, lecz beznadziejny dzień zimowy. A ten list, zamiast pełen słonecznego blasku zamiast ogrzać i rozświetlić, zdawał się przeciwnie dorzucać cień do panującego mroku.

Mrs. Armine bez pokojowej! Nie wiedział dla czego, lecz to drobne wydarzenie, odprawienie dziewczyny uderzyło go w liście Nigla. Znał dobrze światowe kobiety i wiedział, że przeciętna elegantka wyrzekłaby się prędzej nadziei szczęścia w niebie niż pokojowej. Widocznie Mrs. Armine musiała ogromnie się zmienić od kiedy przestała być Mrs. Chepstow. Czy było możliwem, żeby się tak zmieniła? Czy ludzie w dojrzałym wieku mogą się radykalnie zmienić nawet pod wpływem takiego entuzyasty jak Nigel.?

Isaacson myślał o tem przez cały dzień.

Nigel z żoną razem „w rozkosznych, a ustronnych miejscowościach nad Nilem" i byli „szczęśliwsi, niż większość ludzi" — nawet niż większość w tej krainie słońca.

A jednak Lord Harwick doczekał się dwóch synów i Nigel został spadku pozbawiony!

Czytając o tem, Isaacson myślał o wrażeniu, jakie ta nowina wywoła na małżeństwo nad Nilem — jak chciwa kobieta to zniesie.

Widocznie zniosła to dobrze. Nigel nie wspomniał nawet o tem.

A odprawienie pokojowej? Mrs. Armine bez pokojowe ! I znowu, wieczorem, odczytując list przyjaciela fakt ten go uderzył. Co znaczyło to dziwne wyrzeczenie się? Co je spowodowało? „Odprawiła swą francuską pokojową, ażeby być swobodną". Swobodną do czego?

Doktór zapalił cygaro i oparł się w głębokim fotelu. Zaczął studyować ten radosny list tak prawie, jak detektyw bada plan domu, w którym zbrodnia została popełnioną. Skończywszy palić, odłożył list, lecz zwlekał z udaniem się do łóżka. Myśli jego były daleko nad Nilem. Nigdy Nilu nie widział. Możeby pojechał go zobaczyć — tego roku, tej wiosny? Przypomniał sobie swój konny spacer pewnego letniego poranku, kiedy powietrze było gorące, prawie egzotyczne. To powietrze nasunęło mu pragnienie wyjechania gdzieś daleko, do kraju, gdzieby się czuł u siebie, gdzie byłby „na swojem właściwem miejscu". I zapragnął wiedy zdarzeń — tragicznych, strasznych nawet, byleby niezwykłych.

Czy pojedzie nad Nil tej wiosny?

Spojrzał znowu na list. Odczytał raz jeszcze te bez widocznego znaczenia słowa: „Odprawiła swą francuską pokojową, ażeby być zupełnie swobodną".

VI.

Następnego dnia była niedziela. Meyer Isaacson nie przyjmował pacyentów i nie miał żadnego zaproszenia. Umyślnie pozostawił ten dzień wolnym, ażeby módz odpisać na mnóstwo listów. Musiał zapłacić za swe wielkie powodzenie i był jednym z najcięższej pracujących ludzi w Londynie. Od kilku tygodni odstąpił nawet od swego zwyczaju i przyjmował pacyentów do w pół do ósmej. Udzielał się mniej towarzystwu i rzadziej widywano go na koncertach i w teatrze. Powodzenie jak potwór, chwyciło go i usunęło rozrywki z jego życia. Pracował coraz ciężej, zarabiał coraz więcej, wznosił się coraz wyżej do szczytu swej ambicyi. Niewątpliwie czekał go w przyszłości tytuł. W nielicznych wolnych chwilach pisał dzieło o truciznach, dzieło, do którego się przygotowywał podczas wakacyi we Włoszech. Tej niedzieli zamierzał poświęcić mu kilka godzin. Lecz przedtem musiał załatwić swą korespondencyę.

Po spiesznem śniadaniu zamknął się w swej pracowni. Londyn wydawał się dziwnie spokojny. Nawet tutaj między czterema ścianami miało się wrażenie, że to niedziela. Mgła zawisła nad miastem. Isaacson odkręcił elektryczność, stanął na chwilę przed ogniem na kominku i poszedł do biurka. Listy, na które chciał odpisać były po prawej stronie. Dużo z nich — większa część — pochodziły od osób, pragnących zasięgnąć jego porady, albo od pacyentów o symptomach ich chorób. Te listy znaczyły pieniądze. Na wiele z nich odpowie drukowaną kartką, na której wpisze nazwisko i datę. Monotonne zajęcie, lecz nie długie.

Usiadł wziął paczkę drukowanych kartek, położył je przed sobą i otworzył jeden z listów.

„4, Manton Strete, May-fair, styczeń.

Drogi Doktorze Isaacsonie!

Moje zdrowie i t. d. i t. d".

Otworzył drugi:

„200 Park Lane, styczeń.

Drogi Doktorze Isaacson!

Nie wiem co mi jest, lecz - i t. d.

Otworzył trzeci:

„9 Berqueley Square, styczeń.

Drogi Doktorze Isaacson!

Dziwne uczucie w głowie powróciło, chciałbym się widzieć i t. d".

Zwykle odpowiadał na takie listy energicznie i bez niechęci. To były listy jemu potrzebne. Lecz dzisiaj opanowało go znużenie; więcej niż znużenie — rodzaj gniewu na życie, które obrał. Choroba, zawsze choroba! Blade twarze, poszarpane nerwy, melacholia, anemia — cała banda chorób znęcających się nad ludzkością! Co za towarzystwo! Nagle odsunął kartki, położył pióro i wstał.

Wiedział dobrze, co zamąciło jego spokój. To list, który otrzymał z nad Nilu. Początkowo zaniepokoił go w pewien sposób, a teraz w inny. To, to był głos z kraju, o którym wiedział, że musi go pokochać, głos z jego właściwego miejsca. Jego przodkowie byli żydami ze Wschodu, niektórzy z nich osiedlili się Kairze. Nigel powiedział: „Powinieneś tam pojechać. Byłbyś tam na swojem właściwem miejscu.

A gdyby tam pojechał! Gdyby pojechał tej wiosny!

Lecz jak mógł sobie dawać wakacye na wiosnę, kiedy właściwie w tej porze najwięcej osób przyjeżdża do miasta? Mówił sobie, że myśli o niedorzecznościach. Ludzie wyjeżdżają na wiosnę do Indyi, Sycylii, Riviery, nad Nil. Ah, znowu powraca do Nilu! Lecz tyle osób nie wyjeżdża wcale. Byłoby szaleństwem dla lekarza będącego w modzie, wyjeżdżać właśnie w czasie sezonu. No tak, lecz mógłby pojechać na bardzo krótki czas — na parę tygodni może. Dwie doby z Londynu do Neapolu, dwie doby na jednym z pospiesznych statków — „Heliopolis" naprzykład, parę godzin koleją i byłby Kairze. Pięć dni drogi zaprowadziłyby go do pierwszej katarakty. I byłby w prawdziwem świetle.

Spojrzał na elektryczne kule, które jaśniały po obu stronach kominka, poczem zwrócił oczy na okna wychodzące na szarą, mglistą ulicę.

Jakby to było dobrze być w prawdziwem świetle!

List Nigla leżał gdzieś pod listami pacyentów. Doktór podszedł do biurka i wyszukał go Wrócił do ognia i znowu zaczął uważnie lis studyować.

„Czy pamiętasz nasz powrót z koncertu i moje powiedzenie; „chcę iść w światło, prawdziwe światło?"... Przyjedź nad Nil, jak zrobisz sobie wakacye".

To było prawie zaproszenie; nie zupełne wprawdzie, ale prawie zaproszenie. Isaacson zgadywał, że człowiek, który to pisał, pragnął, żeby jego przyjaciel przybył i zobaczył jego szczęście, lecz że nie śmiał prosić go to — zgadywał, że nieprzychylny, wpływ wstrzymał pióro.

— Ciekawym, czy ona wie o tem liście?

Pytanie to przyszło Isaacsonowi na myśl. Ostatnie słowa listu świadczyły, że wiedziała. Gdyby Isaacson pojechał nad Nil, była tam jedna osoba, któraby go mile nie powitała. Wiedział o tem dobrze. A Nigel właściwie go nie potrzebuje. Szczęśliwi ludzie nie potrzebują przyjaciół, którzyby weszli w to magiczne koło i dzielili ich szczęście. Pod wpływem entuzyazmu mogą nawet tak myśleć, lecz prawdziwe szczęście jest wyłączne w swoich pragnieniach.

— Armine chciałby tylko, żebym się przekonał, że wszystko dobrze, a potem pragnąłby mnie się pozbyć.

Nie warto podejmować takiej podróży dla spełnienie życzeń szczęśliwego egoisty. Lepiej nie myśleć o tem, zresztą to byłoby niemożliwe, i...

Doktór powrócił do biurka i zaczął odpowiadać konsultacye. Pisał, aż odpowiedział na wszystkie listy — wszystkie, lecz nie na list Nigla Armina.

I znowu przyszły mu ochota odpowiedzieć we własnej osobie ukazując się pewnego poranku na brzegu rzeki, gdzie Lonia była przywiązana, wejść na pokład i powiedzieć „winszuję wam szczęścia".

Jakby jego przyjaciel był zdziwiony! — A jego nieprzyjaciółka — jaki miałaby wyraz.

Isaacson myślał zawsze o Mrs. Armine, jako o swej nieprzyjaciółce. Weszła w jego życie jak szpieg. Czuł, że go od pierwszej chwili nienawidziła. Wygrała, lecz czy rzeczywiście wygrała teraz, kiedy Lord Harwich ma synów?

Siedząc z listem Nigla przed sobą, uczucie ciekawości powstało w Mayerze Isaacsonie. Nie zwykłej, lecz ciekawości psychologa co do dziwnych stron natury ludzkiej. Od kiedy Arminowie wyjechali z Londynu i dowiedział się o małżeństwie, często o nich myślał, lecz w sposób trochę ogólnikowy, niejasny, jak o osobach, które na jakiś czas wyszły z koła znajomych. Zatopił się w swoich własnych interesach. Lecz obecnie, z powodu tego listu, pomimo znacznej odległości zdawali się być blisko. Przypomniał sobie epizody z ich znajomości. Zwłaszcza przypomniał sobie mądrą kobietę, jej piękną głowę, wyraz oczu tak sprzeczny z czystą linią jej profilu, i ironiczny uśmiech, dziwnie miłą intonacyę głosu. Przypomniał sobie wizyty, które jej złożył, a zwłaszcza stanęła mu w pamięci jej postać za ostatniem widzeniem na tydzień przed małżeństwem. Była śliczną, lecz jak wyszedł zauważył lekkie zmarszczki koło oczu, ostrość kości policzkowych i cyniczne opuszczenie kącików ust.

Wygładził list Nigla i wziął pioro, żeby nań odpisać. Nie mogąc odpowiedzieć osobiście, wyszle swego zastępcę. Lecz ponury spokój Londynu rozdrażniał go. Było coś paraliżującego w tej ciemnej mgle.

Poco zbierał pieniądze, uganiał się za sławą skazując się na więzienie w tem bezsłonecznem mieście?

I znowu przyszła ochota rzucenia nałożonych przez siebie obowiązków. Pomyślał o zdziwieniu swego lokaja, gdyby mu kazał spakować walizkę i zawołać dorożkę na dworzec Charing-Cross. A tam wziąwszy bilet pomknąłby przez zimowy krajobraz.

Neapol! Błękitne może, góry Krety, Zante i wreszcie rozpięte łacińskie żagle, brunatni ludzie w turbanach, białe domy, płaskie dachy, drzewa palmowe!

Ah, jakby to było dobrze! jak wspaniale.

Jeśli odpisze na list Nigla nie pójdze za tym popędem. A jeżeli nie odpisze...?

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika tygodniowa

I zaiste trudno chyba być majowo usposobionym, zwłaszcza jeśli się zważy, że sytuacya poprawia się z każdym dniem ...z pieca na łeb. W miarę, jak dzień staje się coraz dłuższy, a noc krótsza, przybywa też kłopotów, które nadto to mają do siebie, iż nie potrzebują nawet do mnożenia się deszczu, jak to mówi przysłowie o grzybach.

Mamy w całej pełni już wiosnę, mamy też i wiosenne kłopoty, gdyż żadna z pór roku jakoś bez nich obejść się nie może. Wiosenne mają to do siebie, iż na pozbycie się ich trzeba bardzo dużo pieniędzy, a tymczasem budżet domowy wykazuje stale niedobór, który w powojennym czasie daleko trudniej pokryć jakąś finansową operacyą, niż to było przed wojną. Na początku każdego miesiąca, gdy się przyniesie pod dach rodzinny swą gażę, ma się wprawdzie „na oko“ bardzo dużo, jeśli się jednak zrobi zestawienie dochodów i rozchodów, dochodzi się z bólem serca i swędzeniem w okolicy kieszeni, do przekonania, że kwota ta wystarczy, przy najdalej nawet posuniętej oszczędności zaledwie na opędzenie najniezbędniejszych wydatków i to tylko do połowy miesiąca, że zatem nie pozostaje nic innego, jak szukać jakichś nadzwyczajnych źródeł dochodu, a o te, jeśli się nie jest paskarzem lub lichwiarzem, bardzo trudno.

A tu, jak gdyby na złość, Weronika daje do zrozumienia, że potrzebuje kapelusza, aby się módz między ludźmi pokazać, inni członkowie rodziny wyskakują też z żądaniami, które, aby módz dziś zaspokoić trzeba być co najmniej milionerem.

Nadto zbliża się lato, a z niem wyjazd na świeże powietrze, celem poratowania sił, nadszarpanych siedmioletnią wojną, wykazującą stale tendencyę zmienienia się w trzydziestoletnią. Na razie stosunki są o tyle znośne, że można bez obawy opuścić Kraków bodaj na kilka tygodni, nikt zaś nie wie, czy nie pogorszą się już w roku przyszłym. Weronika jest zatem zdania, że należy korzystać ze sposobności i zadecydowała, że rodzina pana kronikarza wyjeżdża w tym roku na całe lato na wieś, wszystko jedno dokąd, do Zakopanego, Krynicy czy Rabki, byle nie do jakiejś zakazanej dziury, gdzie świat jest deskami zabity i nie widzi się ludzi, a za takich uważa tylko tych, którzy noszą na grzbiecie modnie skrojone surduty, na głowach zaś kapelusze z piórami. Nie wzruszają jej bynajmniej wiadomości, podane przez pisma codzienne, że w tym roku trzeba w letnisku lub uzdrowisku zapłacić co najmniej pięćdziesiąt do stu tysięcy marek za mieszkanie, w pensyonacie zaś po tysiąc marek dziennie od osoby. Na wszelkie w tym kierunku przedstawienia słyszymy stale jedną odpowiedź:

— To głupstwo. Zważ tylko, ile kosztowałaby kuracya, gdyby co nie daj Boże, które z nas zachorowało. Ten pobyt w murach miejskich odbił się fatalnie na mem zdrowiu... Czuję, że dłużej nie wytrzymam!... Potrzebuję koniecznie świeżego powietrza!...

Na takie *dictum* rady nie ma, nie pomogą przedstawienia i perswazye, że budżet domowy nie wytrzyma takiego wydatku. To prawda, że świeże powietrze można sobie łykać zupełnie *gratis*, ale te „dodatki“, które są z tem łykaniem połączone przechodzą wytrzymałość kronikarskiej kieszeni.

Mieszkanie i wyżywienie się, nie licząc już wydatków na należyte przygotowanie się do wyjazdu, lekko biorąc, wynoszą około ćwierć miliona, wprawdzie tylko marek, ale i te trzeba mieć, aby je módz wydać.

Weronika odpowiada stale, że odżyje dopiero na wsi na świeżem powietrzu, gdzie nie brak i mleka i masła i jajek, ale widocznie zapomina o tem, że nasz poczciwy ludek wiejski z pod Krakowa, który nas zaopatruje przez rok cały w artykuły, drze z bliźniego skórę, aż trzeszczy, cóż dopiero będzie tam, „na wsi“, gdzie na tę sposobność czekają okoliczni mieszkańcy rok cały i w dwu lub trzech miesiącach chcą sobie to odbić z nawiązką. Jeżeli w Krakowie za zwykły serek, niewiele większy od dłoni dorosłego człowieka, trzeba zapłacić obecnie sto do stupięćdziesięciu marek, ileż zażąda gosposia w Zakopanem lub Krynicy, przyzwyczajona do tego, że letnicy przyjeżdżają tam po to, aby się pozbyć nadmiaru pieniędzy, które im zawadzają.

A samo świeże powietrze, choćby nawet łykane w przyspieszonem tempie, słuchanie śpiewu słowika, kąpiele w Dunajcu lub Popradzie nawet i spacery w nowym kapeluszu i kostyumie po deptaku nie wystarczą. Nieznośny żołądek upomina się o swe prawa, a ma to do siebie, że jest bardzo „ludowo“ usposobiony i na wsi tem energiczniej upomina się o te prawa.

Ale trudno!... *Roma locuta causa finita*, rzekła Weronika, że jechać musi, tak się też pewno stanie, obmyślenie zaś środków, które pozwoliłyby na wyjazd, zostawiła także „głowie domu“, która jest od tego, aby się o fundusze starała, to zaś nie usposabia chyba zbyt „majowo“. Gdyby bowiem był w tym roku otrzymał nagrodę z fundacyi Nobla, co mu się zresztą należało, gdyby był wygrał na loteryi klasowej lub „milionówkę“, mógłby o czemś podobnem pomyśleć. Niestety, Nobel dostał się komu innemu, „ćwiartka“, którą próbował szczęścia na loteryi klasowej należała właśnie do tych, co nie wyszły, a „milionówka, jak gdyby obraziła się na Kraków, stale go omija.

Jest zatem kronikarz w najczarniejszej z czarnych rozpaczy i próżno sobie łamie nad tem głowę, gdzie uderzyć, aby trysnęło złotodajne źródło, które umożliwiłoby pani Weronice wyjazd na świeże powietrze, jemu zaś samemu dało bodaj kilka tygodni spokoju domowego, tak niezbędnego „celem poratowania zdrowia“ bez potrzeby opuszczania murów miasta. Gdyby ktoś z P. T. Czytelników znalazł na to jakąś radę, zechce łaskawie o tem powiadomić niżej nie podpisanego, a zyska sobie jego dozgonną wdzięczność i z serca płynące podziękowanie. Upraszam przecież o pospiech, gdyż lato już za pasem, a Weronika rada byłaby jak najrychlej wyfrunąć z Krakowa wraz ze swemi pisklętami.

Nie pomogły tłómaczenia „na rozum“, poparte cyframi i doświadczeniem swojem i innych, rozpoczęły się układy. Predewszystkiem zaproponował więc kronikarz wycieczkę na Bielany w pierwszy lub drugi dzień Świąt Zielonych, wyłączny zresztą nie tylko pożytek dla ciała upragnionego świeżego powietrza, ale i dla duszy, gdyż można tam dostąpić odpustu zupełnego. Naturalnie, jeżeli to ma być pielgrzymka, należy ją odbyć piechotą. Przez parę dni przed Zielonemi Świętami mieliśmy majowy deszczyk, nie będzie kurzu, nie będzie też i błota, gdyż Bielany nie podpadają pod kompetencyę naszego Zakładu czyszczenia miasta, zresztą kalendarz atuletni zapowiada na sobotę, niedzielę i poniedziałek piękną pogodę, a nawet gorąco, choćby zatem nawet zostało coś błota z poprzedniego tygodnia, będzie miało dość czasu do wyschnięcia. Użycie dorożki jest z góry wykluczone, gdyż byłoby to połączone z wydatkami, co najmniej tysiąca marek, a nie trzeba zapominać, że to już połowa miesiąca, więc kasa domowa zaczyna świecić pustkami, zwłaszcza, że kronikarz był w ubiegłym tygodniu zmuszony do kupienia sobie sznurowadeł do trzewików, które go kosztowały trzydzieści marek. Acz z bólem serca musiał sobie na to pozwolić, łatwiej bowiem przeboleć stratę tej kwoty, niż zapalenie trzewika, który, choć dziurawy, przedstawia dziś bardzo pokaźną wartość. Dorożkarze krakowscy każą sobie bardzo słono płacić za każdy kurs, gdyż i oni potrzebują pieniędzy, aby mogli swe żony wysłać za lato na świeże powietrze. Na użycie „furki“ nie pozwalało Weronice poczucie osobistej godności, nie wie się bowiem, kogo ma się za towarzysza podróży.

Propozycya ta została *a limine* z oburzeniem odrzucona, zaproponował zatem kronikarz swej lepszej połowie, że łykanie świeżego powietrza można bardzo łatwo połączyć i z materyalną korzyścią, a nie być zmuszonym do opuszczenia miasta. Należy w tym celu wydzierżawić parcelkę na Błoniach i tam uprawiać jarzynki, za które się dziś tyle musi płacić. Będzie się miało codziennie. i zajęcie pożyteczne i przyjemne na świeżem powietrzu, za co dotąd nie trzeba osobno dopłacać, grunt zaś będą prawie *gratis* i rzodkiewka i cebulka i ziemniaczki.

I to nie podziałało na Weronikę, która oświadczyła kategorycznie, że nie czuje w sobie ogrodniczych zdolności, zresztą nie ma bynajmniej ochoty pracować, choćby nawet i na świeżem powietrzu, aby potem pierwszej lepszej nocy przyszedł złodziej i wszystko to ukradł. A gdy kronikarz oświadczył swą gotowość pilnowania przez noc plonów, zaśmiała się złośliwie i rzekła:

— Ja wiem o tem, że tobie tylko w głowie, by się usunąć z pod mej kontroli... Ale nic z tego!... Zresztą jesteś dziennikarzem, nie stróżem nocnym!

Nie znalazły w oczach pani Weroniki łaski przedstawienia, jak pięknie śpiewają słowiki w Parku Jordana, jak uroczo na Woli Justowskiej w parku ludowym, gdzie magistrat kazał już posiać grzyby i rychło patrzeć, jak je będzie można zbierać, na wszystkie te przedstawienia miała jedną tylko odpowiedź:

— Nie!... Tego roku muszę wyjechać z Krakowa, wszystko mi jedno dokąd, do Zakopanego, Rabki lub Krynicy, byle tylko znaleźć się zdala od miejskiego zaduchu...

Nie pomogły dalsze tłómaczenia, że przez wyjazd na lato znacznej liczby mieszkańców miasta powietrze i w Krakowie rozrzedzi się i oczyści, stanęło na tem, że jedzie i to zaraz z początkiem czerwca, gdyż wtedy i powietrze i woda są w letniskach i zdrojowiskach silniejsze i skuteczniejsze, w lipcu zaś zostanie tam dalej, aby widzieć gromadzący się świat elegancki i paskarski.

Skoro zatem układy nie poprowadziły do skutku, trzeba się było pogodzić z przykrą rzeczywistością i rozpocząć starania o nagromadzenie jak największej ilości marek, co umożliwiłoby Weronice łykanie świeżego powietrza tak dla jej zdrowia koniecznego.

Pierwsze chwile były jak zresztą zazwyczaj, bardzo trudne, konferencye z przedstawicielami „czarnej giełdy“ nie wykazały na razie pożądanego rezultatu. Nawet pani Hirszprungowa, zwykle bardzo czuła na niedolę bliźniego, trzyma się w rezerwie, twierdząc, że i ona potrzebuje dużo pieniędzy celem wyjazdu „*nach Swoszowic*“, również dla poratowania nadwątlonego zdrowia. To jednak kronikarza nie zraziło, wdrożył cały szereg dalszych zabiegów i jest pewnym, że osiągnie pożądany skutek, pozbędzie się swej lepszej połowy bodaj na parę tygodni. Jej ten wyjazd dobrze zrobi, on zaś będzie go musiał odcierpieć, mając zupełnie słuszny powód do narzekania, że „reparacya“ jej zdrowia tyle go kosztuje, że mógłby sobie za te pieniądze sprawić nową żonę, nie potrzebującą żadnych naprawek.

Ale trudno! Kto powiedział „a“, ten dodać musi i „b“. Komu się zachciało słodyczy małżeńskiego pożycia, ten musi być na to przygotowany, że czasem mają one bardzo gorzki posmak. Słodko to mieć spokój w domu bodaj przez kilka tygodni, ale bardzo gorzko płacić potem za to rok cały, albo może nawet i dłużej, gdyż nie trzeba zapominać, że małżonek jest tym kozłem ofiarnym, skazywanym stale na utoczenie „złotej krwi“, aby tylko jejmości niczego nie brakło.

Z krytycznego położenia wyratował kronikarza, tak się przynajmniej zdaje, Loyd George. Stanowisko, jakie dzięki angielskiej polityce zajmuje wobec sprawy górnośląskiej pewna część Koalicyi, skłoni niezawodnie Weronikę do wyrzeczenia się zamiaru opuszczenia Krakowa na czas letni i pozostania w mieście. Jest ona stałą czytelniczką *Kuryera* i z niego czerpie swe informacye polityczne, obrażona jest też na ministra Sapiehę, podobnie jak i redakcya jej organu i domaga się jego ustąpienia. Skorzystał z tego kronikarz i zwrócił uwagę swej małżonki na mowę, jaką wygłosił w Izbie Gmin Loyd George, dodając od siebie, że znajdujemy się w przededniu bardzo ważnych wypadków. Z mowy Loyda George'a wynika jasno, że sympatye jego są po stronie Niemiec, co niewątpliwie zachęci Berlin do zajęcia wrogiego stanowiska wobec Polski. Nie jest zatem wykluczone, że stoimy w przededniu wojny z Niemcami, a Kraków, jako położony w bliskości granicy może być narażony na poważne niebezpieczeństwo. Z tej sposobności skorzystają naturalnie nasi „bracia“ Czesi i dobiorą się do nas z drugiej strony, równocześnie zaś dyktator Petruszewicz ogłosi samodzielność Zachodniej Ukrainy, czyli, innemi mówiąc słowy, może się rozpocząć na nowo wojna i to na wszystkie strony. Kronikarz, czując w sobie animusz rycerski, nie mógłby wtedy siedzieć bezczynnie, ale chwyciłby za broń i zaciągnął w szeregi, by dać młodszym piękny przykład, wobec czego mieszkanie pozostałoby bez dozoru.

I ten argument podziałał na Weronikę. Zaczyna się poważnie zastanawiać, czy zatem nie lepiej zostać w Krakowie, co jeśli się stanie, będzie zasługą tylko Loyda George'a i jego antipolskiej mowy, ale także i zdolności dyplomatycznych kronikarza, który potrafił napędzić strachu swej małżonce, choć sam śmiał się w duchu z tego, co jej kreślił w tak czarnych kolorach.



Odznaczenie amerykańskich lotników.

Sposób prowadzenia nowoczesnej walki wszedł na takie tory, dzięki najnowszym zdobyczom technicznym, iż najtęższy strategik, choćby nawet tylko z przed lat dwudziestu lub trzydziestu, znalazłby się w bardzo kłopotliwem położeniu, gdyby mu przyszło objąć kierownictwo nowoczesnej i postępowo uzbrojonej armii. Walka, która się dotąd odbywała na lądzie i morzu, przeniosła się i w sfery powietrzne, jakie zaś lotnictwo zdobyło sobie znaczenie w nowoczesnej strategii, świadczą o tem wysiłki wszystkich większych państw, aby swe floty powietrzne doprowadzić do jak największego rozkwitu. Rozwój lotnictwa wojennego osiągnął zwłaszcza w Niemczech punkt kulminacyjny, oddało ono armii niemieckiej nadzwyczajne usługi. Także i w Ameryce lotnictwo zdobyło bardzo piękne rezultaty, tamtejszym fachowcom udało się nawet wykryć starannie przechowywaną tajemnicę niemiecką przygotowywania aliażu aluminium, używanego do budowy statków powietrznych. — Nasze lotnictwo miało z bardzo ciężkimi początkami do walczenia. Nie brakło należycie wyszkolonych pilotów Polaków, odczuwać się natomiast dawał brak materyału wojennego. W tym kłopocie pospieszyli nam z pomocą sprzymierzeńcy i dzięki im lotnictwo nasze wojenne rozwinęło się należycie i mogło spełnić swe zadanie już w czasie ofenzywy bolszewickiej. Szczególniej pomoc Ameryki była w tym kierunku bardzo wydatną, a eskadra lotnicza nr. 7 im. Tad. Kościuszki, utworzona i złożona z ochotników Amerykanów, spisała się znakomicie, dając się szczególniej we znaki armii Budiennego we wschodniej Małopolsce.

Obecnie, z okazyi demobilizacyi, opuszczają Amerykanie nasz kraj. W dniu 10 maja b. r. odbyła się w Warszawie w Belwederze uroczystość wręczenia przez Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza odznaczeń wojennych odjeżdżającym. Odznaczeni zostali „Krzyżem walecznych“ między innymi podpułkownik Fount le Roy i kapitan Crawford, order „*Virtuti militari*“ otrzymał zaś kapitan Couper, który podczas ofenzywy bolszewickiej dostał się do niewoli, zbiegł stamtąd i kilka dni temu przybył do Warszawy.

Po uroczystości dekoracyi odbyła się defilada kompanii honorowej przed odznaczonymi, po południu zaś w Kasynie lotniczem na Mokotowie uroczyste pożegnanie wracających do ojczyzny Amerykanów.



Nowy kierownik polityki niemieckiej: Kanclerz Rzeszy Niemieckiej, dr Wirth.

Nowy kierownik polityki niemieckiej.

W związku z wykonaniem traktatu wersalskiego z czego Niemcy usiłowali się wykręcić sianem, nfni w ciche poparcie Anglii i Włoch, Koalicya wystosowała do rządu berlińskiego nowe ultimatum. Na wypadek, gdyby i to chcieli Niemcy zbagatelizować, zagrożono im represyami, a stanowisko rządów koalicyjnych, zwłaszcza zaś Francyi było tym razem tak stanowcze, że dotychczasowy opór Niemców uległ złamaniu. Staraniem prezydenta Eberta powołany został do życia nowy gabinet, składający się z przedstawicieli stronnictw, które oświadczyły się za przyjęciem ultimatum. Na czele gabinetu stanął dr. Wirth, w skład wchodzi czterech socyalnych demokratów, czterech centrowców i dwóch demokratów. Imieniem nowego rządu rozesłano też, jeszcze przed upływem terminu ultimatum, zawiadomienie do rządów koalicyjnych, podpisane już przez dra Wirtha, a wyrażające zgodę na żądania Koalicyi.

Zapatrywania dra Wirtha na obecną sytuacyę, kreśli berliński korespondent „New York Herald'a“.

Rozmawiał on z nowym kanclerzem Rzeszy dr. Wirthem. Dr. Wirth oświadczył, że jeżeli Ameryka zainteresowana jest w pokoju europejskim, to musi bezzwłocznie starać się o szybkie i sprawiedliwe rozwiązanie problemu górnośląskiego. „Dopóki pożar w obozie polskim nie zostanie ugaszony — mówił kanclerz — nie może być mowy o pokoju. Wszystkie inne problematy zależne są od tego, by Niemcy otrzymały to, co im przyznaje plebiscyt. Europa musi nareszcie rozpocząć pracę. Ale pracować nie można z bronią u nogi. Jak mogą Niemcy pracować, jeżeli taki dyktator Korfanty stoi na niemieckiej ziemi. Jeżeli Sprzymierzeni nie przedsięwezmą nic, aby spełnić swe obowiązki, w takim razie jest rzeczą bardzo trudną powstrzymać ludność niemiecką od chwycenia się samoobrony. Polacy zapominają o tem, że zawdzięczają Niemcom swą wolność. Za-



Nowy kierownik polityki niemieckiej: Gustaw Bauer, zastępca kanclerza.



Odznaczenie amerykańskich lotników: Bankiet wydany przez znanego finansistę amerykańskiego, rodaka naszego M. Nowaka na cześć dzielnych członków eskadry lotniczej im. T. Kościuszki. W bankiecie wziął udział jenerał Józef Haller. Fot. M. Fuks, Warszawa.



Obchody majowe w Częstochowie: Poseł Piekarski odczytuje w dniu 3 maja rezolucyę protestującą przeciw podziałowi Górnego Śląska.

pominają również o tem, że Sprzymierzeni utrwalili ich byt państwowy. Gdy byłem chłopcem, nie mogłem zrozumieć dlaczego nastąpiły rozbiory Polski, dziś pojmuję to bardzo dobrze".

Na zapytanie jak i kiedy Niemcy zapłacą zaległy miliard, odpowiedział kanclerz Rzeszy: „I ta kwestya jest częścią problemu górnośląskiego. Jeżeli rząd potrzebuje do niszczenia wypłat pomocy swych przemysłowców, to musi być stworzona taka atmosfera, aby ten przemysł mógł żyć".

Następnie oświadczył dr. Wirth, że spodziewa się, iż większość narodu niemieckiego rozpocznie wkrótce intensywną pracę. Dalej mówił kanclerz, że Niemcy wzięły na swoje barki wielkie ciężary, ale pokonają te trudności. Bawarskie karabiny i armaty z fortec wschodnich zostaną wydane i pierwsza zapłata okaże jasno dobrą wolę Niemiec.

Zgon młodego bohatera.

(Do illustracyi na stronie 3.).

Odruch rozpaczy, jaki wywołała na Górnym Śląsku wiadomość o krzywdzącej Polskę decyzyi czynników koalicyjnych, odbił się głośnym echem w całym kraju. Na wieść, że Ślązacy chwycili za broń, aby upomnieć się o swe prawa, pospieszyło z całej Polski mnóstwo ochotników, aby zasilić szeregi powstańcze. Między nimi znalazł się i Jan Surzycki słuchacz agronomii Uniwersytetu krakowskiego, syn profesora tegoż Uniwersytetu i wybitnego działacza społecznego. Poszedł, dokąd go wzywał obowiązek, do Krakowa wróciły tylko martwe zwłoki. Nieprzyjacielska kula przecięła w dniu 9. maja b. r. pasmo dni młodego wprawdzie, ale zasłużonego żywota.

S. p. Jan Surzycki, należał do tej kategoryi młodzieży, która już podczas wojny ukraińskiej na pierwsze wezwanie pośpieszyła w szeregi naszej nielicznej wówczas armii i odbył jako artylerzysta



Obchody majowe w Częstochowie: Jeńcy niemieccy sprowadzeni do Częstochowy w dzień 3 maja b. r.

całą kampanię w Małopolsce wschodniej, walcząc z odwagą i zapałem, które mu przyniosły stopień oficerski. Skoro się dowiedział, że powstańcze oddziały potrzebują artylerzystów, pospieszył z kilkoma kolegami na Górny Śląsk i tam padł pod Starem Koźlem podczas zwycięskiej akcyi na Kędzierzyn trafiony kulą z niemieckiej pancerki.

Zwłoki młodego bohatera przewieziono do Krakowa, gdzie się odbył w dniu 13 b. m. pogrzeb, który się zamienił w prawdziwą żałobną manifestacyę narodową.

Przed kaplicą i murem Szpitala załogi gromadziły się mimo deszczu tłumy publiczności, by oddać cześć bohaterskiemu szermierzowi o wolność starej piastowej dzielnicy. Po modłach odprawionych w kaplicy koledzy ze Studyum rolniczego wynieśli na ramionach białą trumnę przybraną w girlandy, świerczyny, przyczem chór odśpiewał „Beati mortui".

Następnie imieniem profesorów Studyum rolniczego przemówił prof. Rogoziński, podnosząc, że jak pięknem i szlachetnem było życie zmarłego, tak piękną była śmierć na polu walki. Był chlubę rodziców za życia, teraz chlubą narodu; imieniem Tow. Obrony Kresów Zachodnich przemówił ks. Korzonkiewicz, zaznaczając, że za nic sobie ważył życie, gdy szło o złożenie ofiary z siebie tej, którą po Bogu przedewszystkiem miłować należy, Ojczyźnie. Żal rodziców po stracie ukochanego syna niechaj opromieni nadzieja, że posiew jego krwi będzie obfity w plon dla Ojczyzny.

Trumnę złożono na karawanie obwieszonym mnóstwem wieńców z żywych kwiatów: „od rodziców", „od kółka rolników", „od harcerzy„ i t. d. poczem orszak żałobny ruszył ulicą Długą ku cmentarzowi.

Orszak poprzedzał oddział harcerzy, dalej postępowała kompania szturmowa w hełmach, za nią orkiestra pułku 20 p. p., za orkiestrą szła delegacya górnośląska i niosła wspaniały wieniec z białego bzu z napisem na szarfach: „Towarzyszowi broni, bohaterskiemu zdobywcy Kędzierzyna, powstańcy G. Śląscy grupa Zachód", wreszcie postępowało w długich szeregach duchowieństwo z prez. Tow. Obr. Kres. Zach. z ks. Rzymełką, poprzedzając prowadzącego kondukt ks. prefektora Sieniatyckiego. Za karawanem otoczonym honorową strażą żołnierzy i harcerzy postępowała rodzina, jen. del. rządu Gałecki, starosta Kowalikowski, prezydym miasta, rektor Estreicher z gronem profesorów, liczne zastępy sfer kulturalnych Krakowa, harcerze i harcerki, młodzież akademicka i szkół średnich, grono oficerów, wreszcie tłumy publiczności.

Kiedy kondukt zatrzymał się przed bramą cmentarną, harcerze wzięli trumnę bohatera na ramiona i ponieśli do grobowca rodzinnego. Tutaj po odprawionych modłach przemówił im. kolegów i koleżanek Studyum rolniczego p. Vetulani, imieniem tow. broni p. Dolinger, wreszcie im. Zw. harcerzy polskich druch Biernakiewicz. Wszyscy mowcy podnosili zalety jego charakteru, ofiarność i zapał dla Ojczyzny, którego dowody złożył w walkach pod Przemyślem, Lwowem, a ostatnio w powstaniu górnośląskiem. P. Dolinger skreślił pokrótce szczegóły zdobycia Koźla i Kędzierzyna w czem brał udział ś. p. Jan Surzycki.

Przy śpiewie „Roty" złożono trumnę w miejsce wiecznego spoczynku.

Cześć Jego pamięci!



Obchody majowe w Częstochowie: Kolonia francuska w czasie obchodu rocznicy stuletniej śmierci Napoleona.

Obchody majowe w Częstochowie.

W bieżącym miesiącu obchodzono w Częstochowie nadzwyczaj uroczyście dzień trzeciego i piątego maja. Rocznica wiekopomnej Konstytucyi była świętem ściśle narodowem, obchód zaś Napoleoński miał dać wyraz sympatyi polsko-francuskich i ścisłego związku między obu temi państwami, których zadaniem utrzymanie w ryzach krzyżackiej bestyi. Rozzuchwalona poparciem swych cichych zwolenników, nie wyrzekła się nadziei zapanowania nad światem, a Polska i Francya powołane są obecnie do tego, aby unicestwić jej zaborcze zakusy, kierowane stale ku wschodowi i zachodowi. Zwłaszcza w obecnej dobie, gdy stoimy w przededniu rozstrzygnięcia sprawy górnośląskiej ma głośne zamanifestowanie przyjaźni polsko-francuskiej, do którego dał sposobność obchód stuletniej śmierci Napoleona, pierwszorzędne polityczne znaczenie.

Uroczystość 3-go Maja w Częstochowie wypadła pomimo niepogody bardzo wspaniale. Tysiączne tłumy podążyły na Jasną Górę, aby wysłuchać modłów, które w dniu święta narodowego odprawił ks. biskup Krynicki.

Po nabożeństwie pochód przeszedł całe miasto, odbyła się defilada wojskowa przed jen. podpor. Pogorzelskim. Na placu przed Magistratem zebrały się następnie kilkutysięczne tłumy, do których przemawiali pp. Piekarski, Kanczyński i dr Nowak. Zebrany tłum zaprotestował przeciwko podziałowi Górnego Śląska.

Mowcy wygłosili wspaniałe mowy o powstaniu górnośląskim. Na zakończenie postanowiono wysłać do Rządu depeszę protestującą w sprawie krzywdzącego nas planu podziału Górnego Śląska.

W kilka godzin po tem zauważono na ulicach miasta prowadzonych Niemców w mundurach i ubraniach cywilnych do Ekspozytury górnośląskiej.

W dniu 3-go maja niemal wszyscy Górnoślązacy opuścili Częstochowę, udając się na pomoc swym braciom przelewającym krew o niepodległość.

Obchód setnej rocznicy zgonu Napoleona miał przebieg bardzo podniosły, zwłaszcza, że tym razem dopisała pogoda. Przed kościołem św. Jakuba odbyła się msza św. polowa, którą odprawił kapelan 27 p. p. ks. Szymański. W nabożeństwie wzięli udział: przedstawiciele sfer wojskowych z jen. Pogorzelskim na czele, władze cywilne, cała kolonia francuska, szkoły, liczni przestawiciele miejscowego społeczeństwa, oddziały wojskowe oraz ludność miasta.

Podczas nabożeństwa przed ołtarzem stała para dzieci, symbolizująca przymierze polsko-francuskie: dziewczynka w narodowym stroju francuskim i chłopiec w mundurze ułana wojsk polskich.

Po nabożeństwie kapelan dywizyi ks. Milik wygłosił okolicznościową przemowę o zasługach Napoleona. Na placu przed kościołem szef sztabu 7-mej dywizyi podpułkownik Borowicz odczytał rozkaz D. O. G. Kielce, a jen. Pogorzelski wzniósł okrzyk: „Cześć największemu bohaterowi Francyi! — Niech żyje Francya“!



Obchody majowe w Częstochowie: Misya i kolonia francuska podczas uczty w cukierni „Cristal“ w Częstochowie w dniu 5 maja b. r.

O godzinie 5-tej po południu w sali Rady miejskiej odbyła się Akademia ku czci Napoleona. Dłuższą prelekcyę o działalności Napoleona i jego stosunku do Polski wygłosił prezes Rady miejskiej dr Nowak., następnie we francuskim języku delegat francuskiej misyi p. Malandre, sędzia Ziemski, i kap. Kosiakowski.

Na zakończenie Akademii odśpiewano Marsyliankę i „Jeszcze Polska nie zginęła“.



Zaślubiny jenerała Sosnkowskiego: Młoda para opuszcza warszawski kościół archikatedralny.

Fot. M. Fuks, Warszawa.

Zaślubiny jenerała Sosnkowskiego.

W dniu 31 kwietnia b. r. odbył się w kościele archi-katedralnym św. Jana w Warszawie ślub ministra spraw wojskowych, jenerała-porucznika Kazimierza Sosnkowskiego z panną Jadwigą Żukowską córką znanego działacza w życiu nadnewskiej Polnii i byłego posła do Dumy.

Jenerał Sosnkowski obecny minister spraw wojskowych, a poprzednio szef sztabu przy boku Naczelnika Piłsudskiego zapisał się bardzo chlubnie na kartach dziejów polskich Legionów, następnie zaś przy organizacyi armii narodowej w oswobodzonej Polsce. Uroczystość rodzinna dała też licznym jego przyjaciołom i zwolennikom miłą sposobność do złożenia mu wyrazów uznania i sympatyi.

Już o godzinie czwartej po południu katedrę św. Jana wypełniły tłumy publiczności, wśród których w komplecie stawili się Ministrowie, przedstawiciele misyi wojskowej francuskiej z jen. Niesselem na czele, oraz innych misyi wojskowych zagranicznych, przedstawiciele dyplomatyczni państw, reprezentowanych w Polsce, przedstawiciele nauki, sztuki i literatury, oraz innych instytucyi i stowarzyszeń naszej stolicy, jeneralicya, oraz delegacye oficerskie i żołnierskie wojsk polskich.

Oblubienicę, pannę Jadwigę Żukowską prowadził do ołtarza Naczelnik Państwa i Wódz Naczelny Józef Piłsudski.

Obrzędu zaślubin dokonał ks. kardynał arcybiskup Kakowski w asystencyi licznego duchowieństwa.

Pienia kościelne wykonał chór oficerski pod dyrekcyę płk. Dańca.

Młodzież akademicka skorzystała z okazyi ślubu jen. Sosnkowskiego, aby wyrazić mu swoją szczerą sympatyę i wdzięczność jako jednemu z prawdziwych przyjaciół młodzieży i gorliwemu obrońcy jej interesów.

Centrala akademickich Bratnich Pomocy uczelni warszawskich i Komitet wykonawczy Związku Bratnich Pomocy Rzeczypospolitej przesłały pp. Sosnkowskim depesze z życzeniami. Delegacya młodzieży akademickiej złożyła p. Sosnkowskiej wiązankę kwiatów.

Minister Sosnkowski od początku swego urzędowania szukał zawsze ścisłego kontaktu z młodzieżą akademicką i uwzględniał jej słuszne postulaty. Czy to przy wstępowaniu do wojska w lipcu 1920 r. czy przy urlopowaniu w październiku tegoż roku, zawsze zastępy młodzieży miał na uwadze.

I obecnie okazał akademikom urlopowanym największej pomocy. pobory — zapomogi, deputaty żywnościowe po bardzo niskich cenach, jako podstawa aprowizacyi kuchni, transporty kolejowe, kołowe i samochodowe, budynki koszarowe, przydział jeńców, drukarnia i litografia — oto co Ministerstwo spraw wojsk. zdziałało dla akademików urlopowanych.

Życzenia młodzieży dla jenerała Sosnkowskiego były wyrazem szczerej wdzięczności i sympatyi.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego.